

HARCERZ



PISMO MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ.

Rok II. Warszawa, Luty 1918 r.

Nr. 2.

Cena 80 fen. w Warszawie i na prowincji.

Na polu działania rozstrzyga nie liczba, ale energja.

Stanisław Szczepanowski: „IDEA POLSKA“

Z DZIENNICZKA...

„.... Wczoraj wypowiedziałem walkę elegancjkiemu, pałacemu, bezmyślnemu stronnictwu w naszej klasie. Stronnictwo to tak zawładnęło klasą od początku, że na wyborach do Samopomocy szkolnej i we wszystkich ważniejszych sprawach ono zabiera głos, ono stawia swoich kandydatów, a ponieważ niezmiernie narzuca się, więc większość klasy, nie myśląc nawet o tem, bezwiednie jest pod jego wpływem. Jest to typowa „kompanja“, złożona z ludzi niemoralnych, w najwyższym stopniu bezmyślnych, którzy umieją tylko ładnie ubrać się, ładny krawat zawiązać, a nie posiadają żadnych wyższych idei i dążeń.

Postanowiłem więc wyrwać klasę z pod tego demoralizującego wpływu, dlatego, że nie jest ona tak zła, jakby się to po jej zewnętrznym wyrazie wydawać mogło, a pragnąłbym ją podnieść, natchnąć czemś wyższem. Położenie moje jest bardzo trudne, gdyż to stronnictwo jest bardzo zakorzenione, a po drugie nie mam swojej specjalnie partji, któraby mój głos podtrzymywała. Mam zamiar przy każdej sposobności niweczyć ich plany, mające na celu najczęściej wygwizdanie nauczycieli lub coś podobnego. Jednak muszę to robić nie przy pomocy wychowawcy, gdyż naraziłbym się tylko klasie; ale odwołując się do jej sumienia.

Dużą podporą dla mnie mogą być skauci, którzy mnie, jako jednego z pośród nich, będą popierać.

...Aby mieć po swojej stronie wychowawcę, muszę się dobrze uczyć, czego nie można o moich

przeciwnikach powiedzieć. Mam nadzieję, że mi to przyjdzie z łatwością...

...Słabością moją jest to, że nie mam specjalnie swojej partji.

Dziś, wracając ze szkoły rozmawiałem z Antkiem o tem i utworzymy swoją partję, wydając pismo, około którego zgrupujemy wszystkie inteligentniejsze elementy klasy. Chciałbym, aby ta partja miała też na celu przeprowadzenie samorządu uczniowskiego w szkole...“.

Powyższe zdania zawarł w dzienniczku swym harcerz zmarły niedawno, o którym mówiono już i o którym można powiedzieć niejedno jeszcze — z korzyścią dla innych.

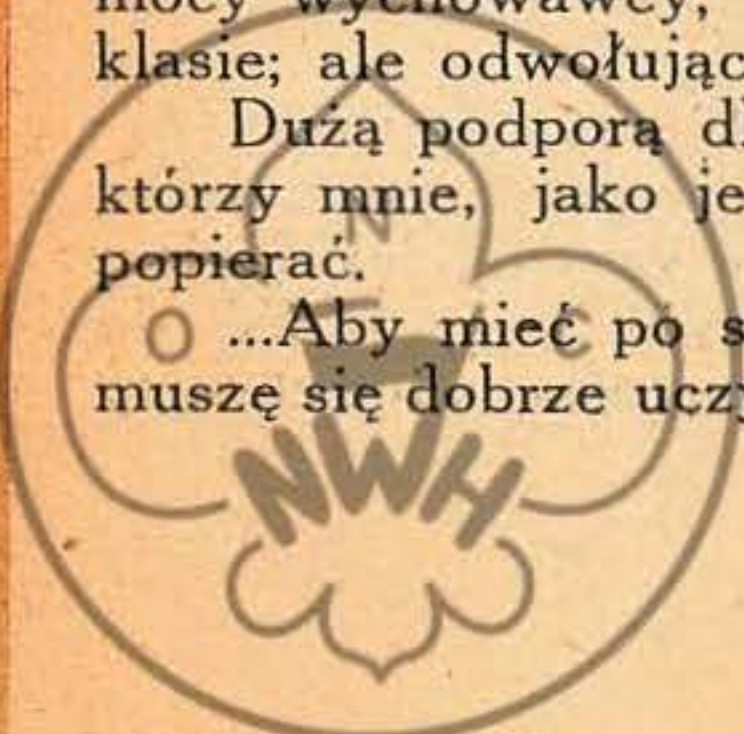
Niezawodnie, zdawał on sobie jasno sprawę z tego, co nazywamy obowiązkami codziennymi, spełniać je pragnął.

Obowiązki codzienne — pojęcie, powiedziałby ktoś, banalne.

Jednak, gdy obejrzymy się po za siebie i przebiegniemy myślą obrazy ubiegłych lat własnego życia, przypomną się nam nietylko dni niezwykle, nietylko te, na których wyciśnięte są piętna szczególne. Odnowimy w pamięci i te jednostajne, szare, wypełniające w tak wielkiej mierze nasze istnienie.

Gdy staną nam one przed oczyma nieraz tak wyraźnie, jakby terażniejszością niemal były, zapytujemy: jacy byliśmy, co czyniliśmy wówczas, czy nie marnowaliśmy tych chwil, które już nie wrócą, a które czekały — na spełnianie obowiązków powszednich.

Te pytania właściwe są nie starcom one przychodzą na myśl każdemu, kto choć trochę zastanawia się nad samym sobą, kto nad sobą choć odrobinę pracuje.



archiwum

Bo obrachunek z sobą jest konieczny tam, gdzie się nie chce brnąć w błędy, pomimo ostrzeżeń przeszłości. Wskazania jej wywołują u ludzi dobrej woli zdania: „my chcemy być inni, pragniemy się zmienić, będziemy lepsi“.

I mówią tak wszyscy zapewne harcerze.

W pamiętniku zbiorowego życia skautowego u nas znajduje obszernie miejsce ta sama sprawa, o której mówią kartki dziennika zmarłego harcerza.

Sprawa stosunków koleżeńskich.

Zastanawiając się nad nią, liczni harcerze i z pośród tych, którzy już ukończyli szkoły, i z pośród uczniów najwyższych klas, mogliby zapewne powiedzieć nieraz: „jednakże nie czyniliśmy, co trzeba, nie jesteśmy w porządku“.

Należałoby powodów do takich skrupułów uniknąć na przyszłość.

Istniały w Warszawie i nie w Warszawie „ogniska wszelkiej nauki“, gimnazja rosyjskie, z którymi musieli zapoznać się niestety ojcowie nasi. Jak ich uczono, jak i w jakim duchu starano się ich „wychować“, o tem słyszeliśmy do przesytu.

Zmora szkół rosyjskich szczęśliwie nam już nie grozi. Można by przeto spocząć na laurach radości, gdyby nie to, że istnieją inne jeszcze zmory. Te, o których mówi się głośno: „tymczasem trudno“, a po cichu: „precz z nimi“.

To „precz“ o tyle coś znaczy, o ile nie jest tylko na papierze, lub w mniej czy więcej górnio mówiących ustach zdawkowego patrioty. Inaczej — o ile wyraża się czynem.

Onego czynu można żądać równie dobrze od starych, jak i od młodych.

Obejmując życie młodzieży, rozłamuje się on na tegoż życia gałęzie.

Świadomość o jego istnieniu winna zmuszać uczniów nie do łączenia się w mirażowe kółka, nie do warcholenia, nie do maszerowania przez życie samopas, jeden tu, drugi tam, często różni contra sobie, lecz do możliwie jednolitej, zgodnej pracy, dążącej ku osiągnięciu ideałów narodowych.

Chodzi o stworzenie społeczeństw uczniowskich, gdzie siła zbiorowa miałaby znaczenie, gdzie zdolności i dążenia jednostek nie tonęłyby beużytecznie, a znajdowały pole działania dla ogólnego dobra.

Chodzi o to, by koleżeńskie rzesze nie składały się z grup lub jednostek, błakających się każda oddzielnie, ani, by nie zasługiwały na miano stad, dających się kierować różnie i przez różnych.

Harcerze mają tu wiele do czynienia.

Biorą udział w życiu zbiorowym zorganizowanej młodzieży, dążącej do szczytnych celów.

Tak jest.

Trzeba jednak dodać pewne zastrzeżenie.

Zapominać nie można o tem, że harcerstwo winno obejmować wszystkie dziedziny naszego życia, że więc skautostwo, gdy chodzi o wcielenie idei, nie zaczyna się, ani nie kończy w zastępie, lub drużynie.

I jeszcze jedno: ruch skautowy musi czerpać siłę dla rozwoju swego z pośród młodzieży i jednocześnie siłę tej młodzieży dawać.

Jeżeli tak jest, to nie będzie nigdy dość powtarzać naszym harcerzom: — „nie zasklepiajcie się w zastępach, nie zapominajcie o tem, że część życia spędzacie w szkole, wśród kolegów waszych, gdzie winniście szerzyć ideę skautową, dokąd wnosić macie tężyznę harcerskiego ducha“.

Przypominać o tem trzeba, bo sprawa ta ginie często w niepamięci.

Kiedy rozpoczęto obecnie pracę nad reformą szkół, niech pomogą w niej i sami uczniowie; widząc, że życie uczniowskie i koleżeńskie nie jest takie, jakim być winno, niech je organizują.

Przedewszystkiem harcerze wziąć winni w tem udział.

Może liczni z nich postrzegą, że „należy wyrwać klasę z pod demoralizującego wpływu“, że trzeba „ją podnieść, natchnąć czemś wyższem“.

Niechaj zagadnienie, w jaki sposób to czynić mają, znajdzie najszersze uwzględnienie. Niech troską wszystkich skautów polskich będzie dobro polskich szkół.

To jest ich obowiązek codzienny.

W celu przypomnienia tego obowiązku i wezwania doń umieściliśmy na wstępie harcerskich wspomnień urywek nie duży, lecz dużo mówiący.

J. Woy.

□□□□□□□□

MYŚLI O PRAWIE.

Nie wiedziałam, co poradzić na ciągłe kłótnie dziewcząt w zastępie. Wszystkie wolne chwile poświęcam na to, by godzić zwaśnione, rozszadzać różne nieporozumienia i t. p. Aż raz po zbiórce, na której obchodziliśmy rocznicę Konstytucji 3-go maja, przyszły do mnie i oświadczyły, że się odtąd nigdy kłócić nie będą.

— Dlaczego?

— Bo tyś mówiła na zbiórce, że brak jedności i niezgoda były jedną z przyczyn upadku Polski. I my same widzimy zresztą, jak to jest źle w polityce, gdy ludzie nie mogą dość do ładu i jeden na drugiego wymyśla, więc chcemy

nauczyć się nie kłócić i wzajem sobie ustępować, nie dopuszczając do sprzeczek, aby w skautingu ludzie znaleźli przykład solidności i zgody“.

To postawienie było trwalsze, niż tysiączne obietnice, dziewczęta dotąd jeszcze o nim nie zapomniały i mam nadzieję że nie zapomną.

Z notatek zastępowej.

* * *

Zima odchodziła, śniegi topniały i powoli świat począł budzić się z uśpienia.

I nam nie dano próżnować.

Mieliśmy codzienne zbiórki szarż, na których omawialiśmy dalszą pracę, projekty wycieczek i t. p.

Dzisiaj, w niedzielę naznaczono zbiórkę na 8-mą rano w Alejach Ujazdowskich. O 7⁵⁵ byłem na miejscu. Roman siedział już tutaj w jesiennym, wytartym palcie, rozmawiając z Jurkiem. Przywitałem się służbowo i zająłem miejsce na ławce.

W tej chwili właśnie tramwaj stanął na przystanku. Z przedniej platformy wyskoczył prędko Staś i skierował się ku nam.

Po drodze rzucił bilet tramwajowy na chodnik.

Gdy zameldował się służbowo Romanowi, ten, jak zawsze z powagą, zapytał: „Drużyna?“ — Zawiszy Czarnego. „Pluton?“ — Pierwszy. „Zastępowy?“ — Staś.

— A czy tłumaczył on wam prawo harcerskie. Widzę, że nie rozumiecie go dobrze. Wiecie, że jest punkt prawa, który mówi, że harcerz służy wiernie Ojczyźnie, a więc dba o honor swego narodu, stara się bronić go wszędzie. Dlatego też dba między innymi o estetykę, czystość, porządek. Nie rzuca zatem śmieci na ulicę. A wy rzuciliście bilet... Niech każdy przechodzień rzuci bilet, zrobi się z ulicy śmietnik. Patrzcie, jak to jest ładnie, kiedy wiatr unosi kłęby kurzu i śmieci! A ileż to pracy musi włożyć stróż w zmiatanie tych śmieci! Nie zastanowiliście się. Podnieście więc bilet i pamiętajcie, że prawo harcerskie nie jest czczą formułą, a harcerstwo nie jest stowarzyszeniem sportowem. Jesteśmy tymi, którzy idą na nowe drogi życia, sięgamy po ideały. Idąc zaś codzień wzwyż, trzeba iść zawsze godnie, z radością nie można schodzić w doliny.

Pietrek.

□□□□□□□□

TADEUSZ RADLIŃSKI.

Wśród wirchów, turni i przełęczy.

II.

Dolina śmierci i Spiczasty.

Rzeźwiący chłód poranny przerwał nam stan pół snu, pół czuwania, w jakim się spędza noce w górach: jest wpół do trzeciej rano — czas do drogi. Pośpiesznie myjemy się więc w zimnym, jak lód potoku, — gorąca herbata, i w drogę!

Ostro i rzeźko idziemy w zimnym powietrzu, na trawie wszędzie szron biały — górski termometr (13 lipca!). Gdzieś słychać przenikliwy gwizd świstaków, które uciekają w zabawnych człapiących podskokach. Widzimy parę kozic, pyrgających po pod kosówką; zwierzęta te mają wielką sympatię u górali: nie zdarzyło mi się widzieć, żeby góral, wypatrywszy kozicę, nie stanął, aby jej się przyjrzeć i zaopiniować, w którą dąży ona stronę, lub zaśpiewać „o kozickach“.

Szybko wznosząc się w górę, mijamy linię lasów iglastych i kosówek, pozostawiamy z lewej strony dolinę Suchą, idącą wprost po pod Lodowy, którego szczyt rzuca olbrzymi cień na całą dolinę, „wywijamy“ na lewo po coraz spadzistszych „upłazkach“¹⁾, pozostawiając po prawej ręce Jaworowe turnie²⁾ i skręcamy w lewo, to jest na wschód, w ostatnią kondygnację doliny Jaworowej t. zw. Zadnią dolinę, której dno, Żabim Jaworowym stawkiem ozdobione, wnosi się na 1900 metrów nad powierzchnię morza. Czyli, stojąc na dnie doliny, jesteśmy mniej więcej na wysokości szczytu pocziwego Giewontu, Dolina zamknięta jest ze wszystkich stron przez niedostępne szczyty, tworzące jakby czworobok murów fortecznych, potężnymi basztami wzmocnionych. Jedną z potężniejszych baszt tego zamczyska — to Mały Lodowy (2466 m.), wznoszący się w południowo-wschodnim narożniku — na północ od niego poszczerbiona grań³⁾ obniża się w Przełęcz Lodową (2380 m.), za nią Kopa

¹⁾ Upłazy są to mniej lub więcej spadziste, trawą porośnięte stoki gór, zwykle tarasami wznoszące się jedne nad innymi.

²⁾ Turnia — jednolita ogromna skała — spadzista i nieprzystępna.

³⁾ Granią nazywają ostry skalny zrąb, czyli kant, ciągnący się od szczytu do szczytu. Grań z natury rzeczy jest mało dostępna. Najniższe miejsce czyli najdostępniejsze obniżenie grani nosi nazwę przełęczy. Przez nią zwykle prowadzi droga z doliny do doliny.

Lodowa (2611 m), skąd granią zębata wciąż w górę dosięga Lodowego szczytu (2630 m.)

Od Małego Lodowego na zachód grań obniża się znacznie, tworząc nadzwyczaj spadzistą przełęcz Białą ławkę—za nią pionowa wieżyca—to nasz Śpiczasty (czyli Ostry szczyt, 2356 m.)—dalej grań ostra i zębata do Jaworowego szczytu i Jaworowych turni, które z tyłu za nami pozostały.

Żadna jednak topografia nie da pojęcia o rzeczywistym wyglądzie doliny, która przez swą niesłychaną dzikość i śmiertelną pustkę czyni wprost przynębiające wrażenie. Jeśli kto pragnie namacalnie wyobrazić sobie całkowitą śmierć przyrody, absolutny brak życia i straszną lodem przejmującą nicość, niech postara się znaleźć o wschodzie słońca w tej obumarłej dolinie. Jakaś straszliwa pustka, jakiś brak nadziei i smutek bezbrzeżny wieje od tych szarych rumowisk, gdzie każdy złom granitu do innych jest podobny, gdzie żadna skała nie wznosi się ponad usypisko, jakby bojąc się swą indywidualnością naruszyć tę okropną, martwą jedność! Ostre kontury potrzaskanych granitów zacierają się gdzieś w tej olbrzymiej przestrzeni; ani jednej roślinki nigdzie, ani płatka śniegu; wszędzie też same potrzaskane szare granity; zmęczone oko nie ma gdzie spocząć i wzrok cofa się z przestrachu w głąb wylekłej duszy: niegościnna, szara martwota—zimna i bezlitosna śmierć! Wrażenie potęguje się jeszcze przez cień ponury (gdyż grań Lodowego od wschodu

słońca nam zasłania) i przejmujący do szpiku kości chłód:—jest 7°C. niżej zera, pomimo, że dziś 13 lipca!

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek w życiu tak strasznie zmarzł, jak w tej dolinie śmierci. Stojąc, a właściwie drecząc w miejscu dla rozgrzania się, spożywamy naprędce zimne śniadanie, zostawiamy wszystko co nas obciążać może, pod kolebą¹⁾ i, biorąc ze sobą jedynie zwój liny i ciupagę, puszczamy się w górę.

¹⁾ Koleba — duży głaz, pod którym znajduje się szczelina, gdzieś skryć można od burzy lub deszczu.

Zostawiając po lewej stronie gruzami zasłane wyniosłości Małego Lodowego a szczyt Śpiczasty na prawo, chcemy przejść przez przełęcz Białą ławkę na południowy jej stok, na t. zw. strzeleckie pola i dokładnie obejrzyć Śpiczasty od strony południowej. Wspinamy się tedy w górę po prawie prostopadłej ścianie, że idący z tyłu dotyka literalnie nosem do pięt poprzedzającego. Robi to wrażenie pięcia się na jakiś olbrzymi mur, którego granitowe cegły wielkości wzrostu ludzkiego luźno ze sobą spojone tworzą zlekka tylko od pionu odchylającą się ścianę. Szybko, zwinnie, żwawo zdobywamy piędź za piędzią, cegłę za cegłą tego muru tytanów, nieprzeparta siła pcha nas naprzód i unosi w górę—tam wyżej i wyżej—dalej od tej doliny śmierci, tam w górę, gdzie bliżej do złotego słońca i nieba błękitnego!

Dalej naprzód! Patrzcie, jak cudownie złoci się ów olbrzymi „koń“¹⁾ granitowy nad nami w promieniach wschodzącego słońca, a myśmy tu w chłodnym cieniu pograżeni, zmarzli i drżący! Naprzód! prędej skapać się w jego życiodajnych promieniach i blaskiem się jego upoić! Oto ostatni skok przez ziejącą chłodem rozpadlinę między dwiema ścianami z granitu, i jesteśmy na „ławce“. Żadne pióro opisać nie zdoła wrażenia; jest ono wprost olbrzymie. Pod nami prostopadle prawia opada ściana czarnych, wilgotnych granitów—i wprost wierzyć się nie chce, żeśmy przecież przed chwilą zrobili tę niepodobną zda się do przebycia drogę, i oto teraz stoimy na fantastycznie poszarpanym grzebieniu grani, kąpiąc się z rozkoszą w gorących promieniach wszechpotężnego słońca. O jakże silnie odczuwa się potęgę jego! Jak cudownie podnosi ono kontrasty białego światła i czarnej otchłani! Jak olśniewający jest blask jego w tym rzadkim górskim powietrzu—jakże gorące promienie! Dzięki nadzwyczaj silnym kontrastom świetlnym zdaje się, żeśmy raptem zostali przeniesieni na księżyc: tu olśniewająco białe, drgające życiem potoki światła—tam czarna, przeraźliwa pustka i chłód—przejmująca cisza i potęga śmierci. Wrażenie nigdy dotąd nieodczuwane, olbrzymie, wstrząsające!

Szybko spuszcza się na południowy, daleko mniej stromy stok Białej ławki: ja, mając widocznie w naturze coś z jaszczurki²⁾, oddaję

¹⁾ Koń—olbrzymi kamień lub skała na grani, przeważnie ostrym kaniem w górę sterująca, tak, że idąc granią, często trzeba się po niej okraczając posuwać (kto nie ryzykuje, oczywiście, przejść równymi nogami po wązkim kancie). Znany powszechnie jest olbrzymi „koń“ przy wejściu na Lodowy od 5 stawów.

²⁾ Jaszczurka lubi bardzo wygrzewać się na słońcu.

się z rozkoszą grzaniu się w młodym słońcu na porośniętym trawą upłazie, towarzyszą zaś mój z Klimkiem i Jaskiem idąc wypatrywać z dołu zachody³⁾, które mi dałoby się wdrzeć na Śpiczasty od strony Strzeleckich pól, czyli od południa. Ale jest to rzecz całkiem niemożliwa: olbrzymie krzesanice⁴⁾ kilkadziesiąt metrów wysokie tamują wszelki dostęp do szczytu. „Tam do ty trawki to byk dosel“ wyrokuje Klimek, wypatrując mały „zachodzik“, „ale po ksesanicy nie pódem“. Po długotrwałych próbach i wypatrywaniach przekonywamy się namacalnie, że sforsowanie szczytu z południowej strony jest wręcz niemożliwe.

Powracamy tedy na przełęcz, aby „prógować“ granią, wdrzeć się na szczyt z boku.

Z daleka jednak widać 2 olbrzymie granitowe konie jeden na drugim spiętrzone, które dumnie swą trzypiętrową co najmniej wysokością zdają się mówić: „I nie próbujcie nawet“.

Toteż napróżno tracimy parę godzin na sforsowanie tej niedostępnej grani: obejście koni okazuje się absolutnym niepodobieństwem. Spuszczamy się więc napowrót w dolinę śmierci, która teraz oświetlona częściowo przez słońce straciła trochę ze swej grozy i martwoty. Jest godzina pierwsza po południu—apetyty bajeczne;—brak wody jednak zmusza nas do poprzestania na suchym przegrzaniu, do jeziora bowiem daleko, śniegu niema, a wina też niewiele ze sobą mamy.

Po półtoragodzinnym odpoczynku mój towarzysz, który już był na Śpiczastym, zostaje na dole, a ja z Klimkiem i Jaskiem—wszyscy po raz pierwszy—ruszamy ku czarnemu ziejącemu kominowi, prostopadle opadającemu z samego szczytu Śpiczastego w Dolinę śmierci.

Zwykły śmiertelnik, lub przeciętny taternik, nie ma zupełnie pojęcia, co go czeka w tym czarnym ponurym kominie pod Śpiczastym. Szczyt wzniesiony jest nad Doliną śmierci na 400 z górą metrów, z których połowa przypada na prostopadle idący w górę komin, — czyli należy sobie wyobrazić, że wspinamy się po rynnie i gzymsach ukrytych w rogu muru 50-kilkopiętrowej kamienicy. Tworzące komin granitowe

³⁾ Zachody (górale wymawiają zahody) są to niezbyt stromo pod górę idące gzymsy wśród urwistych ścian, często-kroć na południowych stokach gór trawą porośnięte, często nieregularną linją zygzakami aż pod sam szczyt podchodzące. Lubią tedy chodzić kozice.

⁴⁾ Krzesanica—prostopadle skrzesana czyli ścięta skała, często paruset metrowej wysokości, absolutnie niedostępna. Szczególnie zdradliwe jest spuszczenie się na dół zachodami (nieznanymi naturalnie), po których często schodzimy parę godzin, aby się przekonać, że są one u dołu „podcięte“ czyli zakończone krzesanicą.

głazy, po których, jak po rynnie, ścieka lodowata i marznąca woda (jest to strona północna—słońca absolutnie pozbawiona), przedstawiają gładką ścianę, na której z trudnością wyszukuje się oparcia dla końców palców u nóg (często całej stopy niema na czym postawić) lub szczyrby w granicie dla schwycenia ręką lub choćby palcami—a pod nami ziejie czarna otchłani, na której dnie ostre złomy granitu czyhają zda się na spadającą zdobycz. Odwracajmy jednak oczy od tej piekielnej czeluści: „i myśli tam nie puszczaj—bo myśl jak kotwica“ pociągnie nas i runiemy w przepaść!

Lecz bacność! Klimek, który długo badał drogę—a raczej absolutny brak jej—woła z za skały, że przejść tedy można jeno na linie po gzymsiku na 3 cale szerokim, pod wystającą kopulasto skałą; w języku turystycznym nazywa się to, że skała „odpycha“, gdyż wystaje ona bardziej nad przepaść niż gzymsik. Jest to wyrażenie, zdaje mi się, dobrze ilustrujące rzecz samą. W takim wypadku trzeba albo przepelznąć pod ową odpychającą skałą, lub mieć punkt oparcia w linie—w każdym jednak razie jest to mało „wygodna“ droga, szczególnie, o ile się ma pod sobą paruset metrów przepaści. Tak podłego, nawiasem mówiąc, miejsca nie zdarzyło mi się widzieć, choć wogóle w górach nie lubię chodzić utartymi szlakami. Jasiak podzielał widocznie wyrażone to przezemnie zdanie, bo przyjrawszy się dokładnie wystającej skale nad gzymsikiem, oświadcza stanowczo, że ma żonę i dzieci i nie myśli ryzykować: „nie głupim, powiada, nie pódem“! A nie jest to byle jaki tragicarz, tylko najlepszy po Klimku przewodnik pierwszej klasy.

Spojrząwszy tedy po raz ostatni na czarną ziejącą rozpadlinę u mych stóp, jakby pragną ją sobie zjednać, lub przekonać się o jej magicznej, przyciągającej sile, opasują się bez słowa i spokojnie linką i pomimo odradzań Jaska puszczam się na gzymsik: „jako! Klimek tedy przepelznął, a ja nie miałbym tego zrobić?“ linka to pyszny środek na nerwy—pre-



Zjazd „Strzałą“.

paść wobec niej nie jest straszna, dzięki niej niepotrzebuje pełznąć pod odpychającą skałą, bo mam punkt oparcia—dalej w drogę!

Przylepiam się więc do skały, cały w łuk wygięty kurczowo, starając się pochwycić jakąkolwiek wystającą nierówność chociażby granitu, poomacku szukając oparcia dla nóg—poomacku, powtarzam, bo jestem tak przylepiony do skały, że głowy schylić zupełnie nie mogę, a zresztą, gdybym nawet mógł, to i tak wystająca „bula“ mi je zasłania (teraz rozumiesz zapewne, czytelniku, tę nazwę: skała, która odpycha?).

Jasiek, stojąc z boku, mówi mi, gdzie trzeba nogę stawiać, żeby trafić na odsłonięty odłam granitu, Klimek zaś, oparty o zrąb skały nademną, trzyma mnie na linie — nie widząc mnie jednak, tak że muszę dyktować, czy ma linkę popuścić, czy podciągnąć, czy przesunąć dalej i t. p. Takie tu jest potrzebne skupienie się, tak wszystkie komórki mózgu pracują nad jedną myślą: gdzie postawić nogę—za co schwycić ręką, jak przesunąć się dalej, — że się stanowczo nie ma czasu myśleć o przepaści z tyłu, nawet nie mówiąc już o tym, że się o całym świecie zapomina i że najpoważniejsze zagadnienia życia całego są zorem w porównaniu z myślą np., czy w tym miejscu najpierw trzeba zgiąć kolano a potem podnieść rękę, czy naodwrot! Wyda się to wam przesadzonym, czytelnicy, ale przecież od tego życie całe w tej chwili zależy!

I właśnie w tym bajecznym wprost skupieniu całej uwagi w jeden punkt, w tej zależności wszystkiego od swojej zręczności, odwagi i zimnej krwi, w tym zwyciężeniu wszelkich trudności zebraniem całej energii i wytrwałości leży cały czar wycieczki po niebezpiecznej drodze. Powoli, cał za całem posuwam się w lewo gzymśikiem, mijam odpychającą skałę i z jakimś zadziwieniem (jakto? więcem nie spadł, więc to tylko tyle?!) dostaje się na „bezpieczne“ miejsce t. j., jestem nad tą samą przepaścią, na tym samym gzymśiku, lecz skała już mnie nie odpycha i „widzę“ pod całą stopą punkt oparcia i całą dłońią mogę

schwycić gładki granitowy; jestem więc zupełnie w bezpiecznym miejscu,—wszelako, gdyby przeciętnemu nieboszczykowi, który, zdawałoby się, nic już absolutnie do stracenia nie ma, zaproponowano chwilę spoczynku na owym bezpiecznym miejscu, to by na pewno po raz drugi umarł ze strachu!

Jeszcze parę kroków w górę—i oto jestem obok Klimka. Leżę się wtedy czuje zadowolenia z siebie, ile rozsadzającej pierś dumy: oto nie zawahałem się spojrzeć w „oczy zimnej śmierci, a ona odwagą strwożona zlekła się i tam oto w tej

siniejącej przepaści skryła się zwyciężona i pobita. Jestem mocny i wielki, i potężny, i nic, nawet ona, nie jest dla mnie straszna! Śmiało, z podniesioną przyłbicą wyzywam do walki te skały—tytany, te przepaści bezdenne—i wychodzę z niej zwycięzca!

Szybko odwiązuję linkę i rzucamy ją Jaśkowi, który, zachęcony moim przykładem, przyłącza się do nas. Odpocząwszy, puszczamy się dalej w drogę—szczyt już niedaleko nad nami. O jakże nam miło będzie ogrzać się na nim w słońcu, bo tu mamy temperaturę 3 stopni niższej zera mniej więcej. Jeszcze ostatnia niedługa rura naszego komina, i będziemy na szczycie. W tym, o zgrozo, okazuje się, że ten niewielki kawałek komina — jedyna droga, którą puścić się możemy, jest cały pokryty lodem! Na szczycie widocznie leży topniejący w słońcu płat śniegu—woda ścieka kominem i zamarza—tworząc gładką ścianę! Około godziny oglądamy to miejsce — staramy się lód obłupać — lecz daremnie: woda wciąż spływa i wciąż zamarza, obłupany granit wnet pokrywa się na nowo lodem. A lód w takich miejscach jest jedynym przeciwnikiem, z którym walczyć niepodobna — pokrywa on szczelnie wszystkie szpary w granicie i niema sposobu wynaleźć punktu oparcia ani dla nóg, ani dla palców. Klamry wbić w lód nie można, bo warstwa jego jest za cienka, w granit zaś klamra nie pójdzie, trzeba szukać szpar — pod lodem zaś ich nie widać, a przytym mamy klamrę ze sobą niewiele, a komin ma ze 30 m. wysokości. Wszyst-



Na saneczkach.

kie próby okazują się bezowocnymi; ręce nam z zimna drętwieją, kłapiemy zębami, czas mija na próżno! „Nic z tego—zda się nam mówić złodowaciała granitowa ściana—zawczasieście się wybrali, robaczki! Trzeba wam było przyjść, jak śnieg w górze stopnieje, to tu lodu nie będzie!“ Posłuszni kamiennemu głosowi, po krótkiej naradzie decydujemy się zejść na dół. „Jeszcze my tu powrócimy“ powiada Klimek, „ino w sierpniu jak lód stopnieje“. Rzeczywiście wybraliśmy się zawczasie. Englisch, który ten szczyt pierwszy zwiedził, był tu 25 sierpnia (1902 roku), po nim był tu również Chmielowski, lecz lodu też nie znalazł.

Około godz. 4 $\frac{1}{2}$ jesteśmy na dole zmarznięci ze zdrętwiałymi z zimna palcami, lecz głowę trzymamy wysoko; zrobiliśmy wszystko, co można było, — cofnęliśmy się przed niepadobiestwem! Wrócim tu jeszcze, jak lód zejdzie, a teraz w drogę przez Lodową Przełęcz do Pięciu Stawów Spiskich na noc!

Nudną i zmudną drogę na Przełęcz po kalcących nogi i buty grubych piargach¹⁾ odbywamy w milczeniu a pośpiesznie. Szedł raz tędy regiment piechoty austriackiej podczas manewrów, o czym poucza nas tablica umieszczona na szczycie przełęczy (2380 m).

Schodzenie na dół po piargach przypomina do pewnego stopnia bajkę o siedmiomilowych butach — każdy niewielki krok posuwa nas w dół na parę metrów wraz z osuwającą się lawiną gruzów. Trzeba tylko „uważować“, żeby nie spuścić kamienia na głowę idących przed nami: spadają one, warcząc w powietrzu w szalonych łukowatych podskokach, roznosząc wszędzie woń spalenizny przy uderzeniu o skałę. Brawo—w połowie drogi zaczyna się pole śniegowe, stromo na dół opadające: bajeczna szlichtada (choć często niebezpieczna). Staje się szeroko i pewnie na nogach, ciupagę mocno w prawą garść i pod lewą pachę: służy ona za hamulec, ryjąc śnieg przy tej szalonej i ryzykownej jeździe. Można również zjeżdżać w pozycji leżąco-siedzącej na spadzistym polu śniegowym—oba te jednak sposoby dużej wymagają umiejętności, bo nic łatwiejszego, jak stracić równowagę, a wówczas siła pędu zwraca człowieka na dół głową — jako najcięższą częścią — która to część ciała łatwo może być „rozćwiartowana na trzy nierówne połowy“ o wyglądające z pod śniegu na dole „skale“. Po szalonej jeździe otośmy już z Klimkiem na dole. Doczekując się towarzyszy, wyszukujemy dla przyjemności nowych kawałków do szlich-

¹⁾ Piargi—ostre granitowe gruzy—osypiska osuwające się na dół—dlatego też wejście na nie w górę męczą, schodzi się zaś bardzo szybko.

tady — dzięki czemu z moich butów i „niewymownych“ śmiało można wykręcać wodę. Oto i schronisko węgierskie Teryego na środku doliny — a więc guljasz „madziarski“.

W schronisku spotykamy dwóch członków Węgierskiego towarzystwa tatrańskiego, panów Döri i Dery. Są to dwaj zaciekli turyści i opiekunowie schroniska Teryego. Nieopatrzny śmiałkom, którzyby chcieli nazwę towarzystwa po węgiersku wymówić, grozi niechybna śmierć przez zadławienie się własnym językiem, lub przynajmniej jego zwichnięciem.

Pan Gyula Döri (czytaj Diula — znaczy Juljus) opowiada nam przy guljaszu, że właśnie dzisiaj starał się wdrzeć na niezwykłego dotąd Egenhofera, lecz bezskutecznie!

Pysnie się składa, myślimy sobie, spoglądając na ten nietknięty jeszcze stopą ludzką szczyt, którego dumny wierzchołek w kształcie trójzęba wspaniale się zarysowuje na tle wieczornego nieba — pójdziemy tam jutro — spróbujemy, kto mocniejszy!

(d. c. n.)

□□□□□□□□

BRATERSTWO.

Harcerz jest przyjacielem wszystkich, a bratem każdego innego harcerza.

Tak mówi nasz kodeks. Słowa proste, a wymagają od nas tak wiele. W nich mieści się całość naszych codziennych obowiązków. Wszak owi wszyscy to—ludzkość cała. Toć harcerz, to—przyjaciel wszystkich, każdemu on odda co mu się należy: uszanowanie, wdzięczność, cześć...

Dziś, gdy ludzie zniecierliwili się wzajemnie nie tak to łatwo!

Harcerz jednak tę trudność przełamie. Polski harcerz wie, że w ludzkich stosunkach winna panować idea wzajemnej miłości. Do ideałów tych — wie, że dążyć powinien. Minęły już czasy, gdy harcerze nasi z łatwością czynami ją stwierdzać mogli. Jak i gdzie kto mógł ku temu się przyczynić.

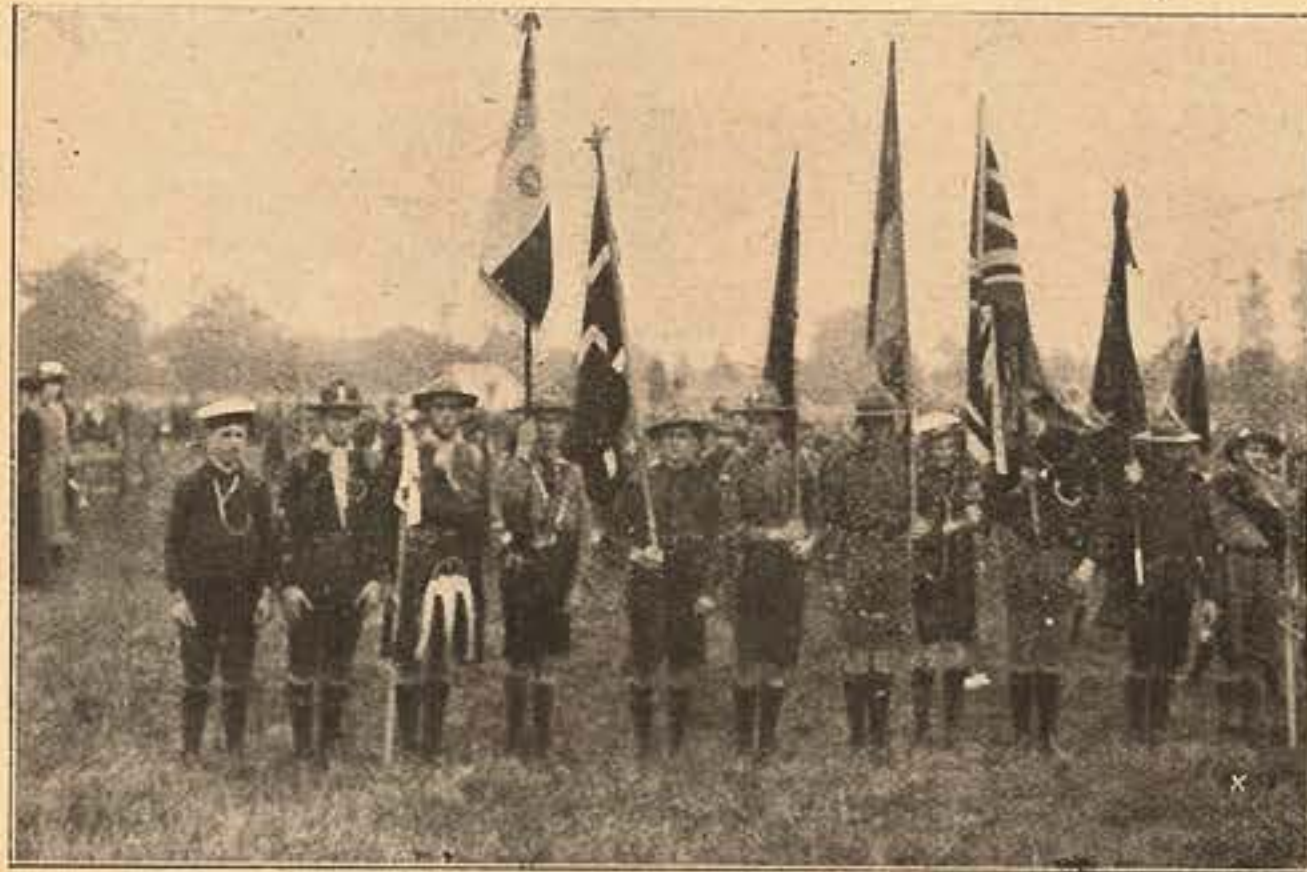
Wspomagano biednych, pielęgnowano chorych i rannych. Pamiętacie pewnie usługi jakie oddawali nasi harcerze rannym przy transportach, na dworcach, w pociągach czy w lazaretach. A później pomoc żołnierzowi polskiemu. To wszystko czyniono w myśl owej harcerskiej zasady braterstwa.

Tak; skauting jest związkiem braterskim wszystkich młodych serc i dusz, złączonych prawem, ideją, która w nim tkwi.

I choć wiele mil, różnica języków i obyczajów dzieli może jednych skautów od drugich —

wszyscy stanowią oni jeden związek braterski, bo związani są tym samym prawem, tymi samymi ideałami „tym samym żarliwym pragnieniem wyrobienia się na dobrych skautów“.

I nic to, że dziś dzieli ich może przepaść; choć sztuczna może przepaść wywołana różnicą interesów ich krajów.



Zlot skautów różnych narodowości. Polak oznaczony X.

Przyjdzie jeszcze chwila podobna do tej, jakoto nasi skauci wspólnie braterskie wiedli, życie w jednym obozie na zlocie w Birmingham, kiedy tryumfalnie powiewało obok siebie w całkowitej harmonji i zgodzie, wiele sztandarów. A między nimi i — nasz Orzeł Biały.

Bo „na mogiłach poległych ku uświęceniu ich ofiary wyrośnie braterstwo“ — jak mówi prof. Foerster.

Ster.

□□□□□□□□

Stare dzieje.

Nic więcej nie plami harcerza jak atrament — powiedział kiedyś dr. Zalewski.

Wyznaję zasadę tę w całej rozciągłości, boję się atramentu jak... jak alkoholu (albowiem skaut się wody nie boi...); lecz kiedy losy chciały, żem zaczął pracować w dziale „od wycieczek, opowieści skautowych i innych różności i rozmałości, to często, gęsto muszę chwytąć za ořeż... bo choć druhowie mają już tyle lat za sobą i wiele wakacji, to nie są zbyt łaskawi dla „Harcera“, a i z 4-ch rzeczy przysłanych mi — 3 nadają się do... redaktorskiego kosza.

Muszę więc dziury łątać i pisać sam, lecz powiem Wam w wielkiej tajemnicy, że mam wielkie wątpliwości, czy „artykuł“ ten znajdzie się w „Harcerzu“. Druh Redaktor z przyjemnością zużytkuje papier ten na opał.

Nosił wilk owce, poniosą i wilka.

Wrzucam do kosza artykuły, wrzucą i mój..

Ale, że lepszego niema, więc dostapicie zaszczytu i czytać pewno będziecie wspomnienia z czasów bardzo dalekich, bo z czasów letnisk C. K. O.

Pewnego pięknego popołudnia zwaliliśmy się do P. i objęliśmy natychmiast w posiadanie opuszczony dom z budynkami, ogródkiem, lecz całkiem pusty w środku. Choć więc stołów, ławek, łóżek nie było, to lepiej jadło się leżąc na ziemi i lepiej się spało na słomie, niż w domu. Dni leciały szybko, wesoło. Nigdzie nie widziałem tylu przyrodników, co tam. Całe godziny trawili na wielce naukowych doświadczeniach: karmili pijawki, złapanie w dole pełnym wody, kijankami, siedząc nieruchomo przypatrywali się życiu żyjatek tej kałuży.

Najmilsze były wieczory koło ogniska, darliśmy się „na całą parę“; ulubioną pieśnią była wtedy „Święta miłości“, gdyż echo dalekie odpowiadało mu czysto i dźwięcznie:

„Polska... niech żyje nam!“

A gdy noc zapadła warty strzegły bezpieczeństwa. „Zawisza“ był blisko!

Warty nocne, niezapomniane pierwsze warty, kiedy każdy szelest to czyjeś kroki, każdy cień... ktoś się skrada.

Jakżesz to się serce tłukło, jak dech w pierśi zamierał, jak baliśmy się, choć okiem mru gnać, by się nie zdradzić.

Z jaką radością witaliśmy słońce, gdy wstawało na widnokręgu jasne, promienne, gdy promieniami ciepłymi całowało we mgły spowitą ziemię.

O, słońce, jasne nasze słońce!

Pewnej nocy objął warty zastęp biskopów najmniejszych z całej kolonii.

Noc przeszła bez wypadku. Lecz rano dziwy rozprowadają. Nadchodzi raport, rozkaz dzienny. Drużynowy daje pochwałę Zbyszkowi za

to, że stał na warcie zamiast swego młodszego brata, oprócz swojej warty.

— Co w tem wielkiego? — pytał zię Zbych.

— Tak, Zbyszku, nic wielkiego! Tylko twój postępek, biskopciku, był jednym z tych codziennych poświęceń tak drobnych, że się nawet uwagi na nie zwraca.

Choć nikt go nie widzi i może nie oceni, to w duszy twej zjawi się radosne uczucie, żeś spełnił dobry uczynek — obowiązek harcerski. Uczucie to sprawia, że każda robota lekka się wydaje, żeś wesół jak ptak.

A pogoda w życiu, to skarb największy!

Jastrzębiec.

□□□□□□□□

Co wiedzieć należy?

NIEPRZEMAKALNE PODESZWY.

Łyżkę stołową pokostu i pół łyżki terpentyny zmieszać i pociągnąć tym płynem podszwy. Gdy ten płyn wsiąknie, pociągnąć powtórnie i pozostawić skórę, dopóki nie wsiąknie. Przed włożeniem bucików wysuszyć na słońcu, lub przy piecu. Podszwy staną się twarde i odporne na wilgoć.

PASTA DO OBUWIA.

Zaschniętą pastę do obuwia można zmiękczyć, dodając wazeliny. Aby maść się rozpuściła, trzeba postawić pastę na gorącej blasze i potem zmieszać wazelinę z zaschniętą pastą. Przy potarciu pierwszą raz, obuwie będzie się mniej, niż zwykle, świecić. Połysk odzyskamy przez długie szcietkowanie. Od wazeliny skóra się robi miękka i nabiera trwałości.

□□□□□□□□

DZIAŁ „BISKOPTOWY“.

GAWĘDA.

Wstępując do harcerstwa, do drużyny, rzadko kto z was namyślał się czemu tak robi, czy to nie jest tylko przelotna fantazja, słomiany ogień. Widzimy na popisach, jak ładnie drużyny maszerują jedna za drugą, widzimy na pocztówkach lub i w rzeczywistości chłopców ładnie ubranych w koszule skautowe, w krótkie spodnie i kapelusze, z przypiętym na lewym ramieniu pękiem wstążek i z laską w ręku, wreszcie widzimy u kolegów w szkole ładne znaczki, które też chcielibyśmy nosić. Wlewy także, że harcerze robią długie wycieczki że bardzo wytrzymali, mogą cały dzień nie jeść i całą noc nie spać, a na warcie boją się kotów duchów.

Każdy myśli sobie — jakie to ładne; i ja też chciałbym tak wyglądać i móżdż tak jak oni chodzą na zbiórki i wycieczki, a może kiedyś będę dobrym skautem, bo będę chodził na długie wycieczki, będę miał laskę i plecak, z którymi nie będę się nigdy rozstawał, a może także kiedyś będę sławnym, napiszą o mnie w piśmie skautowym, albo dostanę się tak jak inni na pocztówkę.

— Ale jak to zrobić?

A no odpowiedź prosta:

— Zapisać się do drużyny.

Powziąwszy takie postanowienie zapisujecie się do tej czy do innej drużyny i uczycie się chodzić na długie wycieczki, znosić trudy życia obozowego, gotować sobie samemu zupę i być wesołym, chociaż ma się pełno wody w butach.

Żebyście jednak tak dobrze przypatryli się temu co się zmieniło od tego czasu, jakieście, wstąpili do harcerstwa to oprócz tego, że wiecie jak ratować ludzi, umiecie posługiwać się mapą, umiecie doskonale tropić i po zrobieniu kilkudziesięciu kilometrów jednego dnia wywinąć kozła i wesoło zaśpiewać, gdybyście się temu wszystkiemu dobrze przypatryli zauważylibyście jeszcze bardzo wiele innych rzeczy.

Niektóre z tych rzeczy są potrzebne, bez innych mogłoby się obyć, a nawet może i byłoby lepiej. Przypatrzmy się jednym i drugim.

Przedewszystkiem, wstępując do drużyny dopełniście aktu, dowodzącego, że już dorosliście do tego aby, rozporządzać sobą oczywiście za wiedzą i pozwoleniem rodziców. Dotąd zawsze było tak, że do szkoły naprzykład oddawali cię rodzice, nie pytając się wiele o twoje zdanie. Teraz już ty sam powiedziałeś sobie, że chcesz wstąpić do harcerstwa, to też nikt ci tam dwóch ani trójek stawiać nie będzie, ani nikt nie będzie wymagać świadectw, dlatego, że przez wstąpienie dobrowolne do harcerstwa sam uznałeś się i uznali cię inni za chłopca, który wie co robi i, jeżeli przyjął na siebie pewne zobowiązania, to będzie je spełniał i nie będzie się wykręcał nie dlatego, że mu każą je spełniać, ale dlatego, że godność jego nie pozwala na opuszczenie się w tych obowiązkach, które sumiennie spełniać przyrzekł.

Zastanów się nad tem, że teraz nie możesz po całych dniach baków zbijać, ale musisz co jakiś czas trochę poważniej pomyśleć i trochę popracować, nie możesz już robić zawsze tego co ci się podoba, ale musisz się słuchać zastępowego, aby pod jego kierunkiem stać się dobrym harcerzem, a co za tem idzie i umieć służyć swojej Ojczyźnie.

A głównie musisz się poddać prawu harcerskiemu, będącemu dla nas wszystkich najwyższym nakazem. Masz nad sobą to prawo harcerskie,

które nie pozwala ci robić rzeczy złych, a nakazuje robić dobre, nakazuje ci być człowiekiem, szanować godność ludzką, odróżniając cię od zwierząt, a nade wszystko nakazuje ci być Polakiem i jako takiemu nakazuje ci służyć tej Polsce wedle sił i możliwości, a głównie przygotować się do tego, abyś mógł w przyszłości, dzięki swej wiedzy, stać jednym z filarów społeczeństwa.

Jan Myszkowski.

JAK TO „BISZKOPTY“ W STAREJ WARSZAWIE ZNALAZŁY COŚ ŁADNEGO.

— Tak dziś ładnie i ciepło, zrobmy zbiorke w ogrodzie!

— Nie, dziś pójdziemy na Stare Miasto.

— E, na Stare Miasto!... Ja już zwiedzałam je tyle razy i nic nie pamiętam. Co tam ładnego jest w tych starych domach?

— Sama zobaczysz, a teraz cisza; wchodzimy do Katedry.

Z gwarnej ulicy Świętojańskiej dostały się dziewczęta do cichej mrocznej świątyni. Wyższe kolumny, strzeliste łuki sklepienia sprawiają dziwnie majestatyczne wrażenie, czuć wszędzie chłód i spokój.

— Czy to prawda — spytała jedna z dziewcząt, zatrzymując się przed kaplicą Chrystusa Baryczkowskiego — że do tej kaplicy król Stanisław August incognito przychodził się modlić? Jaby też tu przychodziła. Patrz jaki bolesny wyraz twarzy ma Chrystus, ileż w nim męki i cierpienia.

— Tak, to prawda. Stanisław August upodobał sobie to miejsce do modlitwy, ale bo też trudno o lepsze.

— Chodźcie tu do prezbiterjum. Spójrzcie na ołtarz, stalle, jakie to wszystko wspaniałe!

— A ja mam jakieś dziwne uczucie. Zdaje mi się, że żyję w dawnych czasach, że tu w loży królewskiej widzę płaczącą Annę Jagiellonkę, w kościele cały senat i dwór, a przy ołtarzu biskup śpiewa „Requiem“. To chyba po śmierci Zygmunta Augusta, taki żalobny nastrój.

— Spójrz teraz, jak promienie słońca padają przez okna. Myślę o tej chwili, kiedy to król Stanisław August przysięgał na Konstytucję 3-go maja. Widzę ten barwny tłum, widzę radość na ich twarzach.

Dziewczęta stały zadumane. Zwykle takie wesołe i śmiejące się, teraz uległy wpływowi świątyni.

— No chodźmy już. Jak tu inaczej na ulicy! Tam patrzyły na nas te wykute z marmuru twarze, patrzyły tak poważnie i surowo...

— A dokąd teraz idziemy?

— Na Rybaki.

Dziewczęta zeszły w dół ulicą Celną, potem Brzozową, aż do rogu Mostowej.

— E, ja myślałam, że Rybaki to co innego, a to zwyczajna ulica!

— Bo też ja wam chcę rzeczywiście co innego pokazać, tylko musimy przejść przez to podwórce.

— Ale Irko, to zupełnie stary dworek gdzieś na przedmieściu. Jakże to ładne!

— Patrz, kury chodzą, tam znów dzieci się bawią, bielizna suszy się na murze, zupełnie jak na obrazku

— Ale dokąd ty nas prowadzisz przez te zabudowania?

Zobaczysz.

— Wisła! Ślicznie tu! Jak to dobrze, żeśmy przyszły nad Wisłę! Więc to tu są owe prawdziwe rybaki.

— Patrz no, Irko, same złudzenia dzisiaj, znów mi się zdaje, że żyję jakie sto lat temu. Czy widzisz tego rybaka naprawiającego sieć? Cała rodzina mu pomaga, żona wyjmuje ryby z łódki, dziecko bawi się piaskiem. Czyż nie tak musiały wyglądać Rybaki w czasach, kiedy pieśń flisacza rozbrzmiewała po Wiśle, kiedy to, jak mówi Or-ot: „Nad Wisłą piękny książę sma-lił cholewki do rybaczek.“

— Zosia ma słusność. Naumyślnie was tu przyprowadziłam, aby pokazać sceny z dawnego życia warszawskiego, bo niektórzy zaledwie wiedzą, że w Warszawie są rybacy.

— Bo też naprawdę my nic nie wiemy o tylu ładnych rzeczach. Ja zawsze myślałam, że Stare Miasto, to tylko dlatego stare, że brudne i brzydkie. Teraz widzę, że Stare, bo nam przypomina stare minione dzieje, bo trzeba je kochać, jak starą drogą pamiętkę.

Wanda.

□□□□□□

Z ŻYCIA HARCERSKIEGO.

KRAKÓW.

Skauci krakowscy nie próżnują. Staraniem jednej ze starych i zasłużonych drużyn została wydana „Noworoczna jednodniówka skautowa“ (do nabycia w K. D. H.).

SOSNOWIEC.

IX okręg w Sosnowcu wydał niedawno „Jednodniówkę Harcerską“, na podstawie tej Jednodniówki, jako też i innych materiałów dowiadujemy się, że z początkiem jesieni 1917 r. zaszły w życiu harcerskim Zagłębia Dąbrowskiego poważniejsze zmiany.

Oto wytyczne punkty programu reorganizujących się drużyn Egzaminu I-go, II-go i III-go stopnia mają dawać ogólne pojęcie o różnych rodzajach pracy, uczyć zaradczości i szybkiego orjentowania się w każdym wypadku. Sprawdzeniem więc umiejętności zdającego musi być wykazanie że sobie praktycznie w danej dziedzinie specjalności skautowych radzić umie, a przez to naturalnie w każdej okoliczności życiowej! Urozmaiceniem pracy było wprowadzenie specjalności harcerskich. Utworzone zastępy instruktorskie (niezależnie od zastępów, składających drużynę) mają za zadanie zaznajamianie harcerzy i harcerek z różnymi gałęziami rzemiosł lub innych niezbędnych w życiu zajęć.

Obecnie rozwija się najlepiej: introligatorstwo, stolarstwo, szycie oraz po części zajęcia freblowskie — śpiewy i gry. O tem, w jaki sposób wykonywują praktycznie powyższy program, mówić tu nie mogę, z powodu braku miejsca, które dla mojej skromnej recenzji redakcja bardzo ograniczyła.

Poza tym artykułem rzeczowym poważnym, poruszającym bowiem ważną sprawę zreformowanie pracy w drużynach — stanowiącym przytem sprawozdanie z owej pracy „Jednodniówka“ nie przedstawia niestety, większej wartości.

□□□□□□

Przysłowia harcerskie!

Harcerz w domu — wieczny niepokój!
Harcerz nie w porę, lepszy od Tatarzyna!
Kto rano wstaje — na wycieczkę rusza!
Nie miał harcerz kłopotu, zaczął pisywać do „Harcerza“.

Co nagle, to po harcersku!
Lepszy III-ci stopień w ręku, niż sprawność na sęku!

Za drogie pieniądze, harcerz buty zdzierał
Wyskoczył — jak harcerz z zasadzki!
Kiepszy ten harcerz, który o I-ym stopniu nie myśli!

□□□□□□

Teraz, kiedy nawiązanie kontaktu z Galicją jest tak trudne, każda wiadomość, każda książka stamtąd, jest nam miłą i wartościową. A jednodniówkę tę przeczytać warto! Niemało materiału do gawęd mogą dostarczyć kierownikom i kierownikom skautowym. O wartości „Nad grobem Adama Mickiewicza“ — O Jacka Woronieckiego, „Na przełomie“ — Grota, mówią same podpisy autorów znanych działaczy na polu harcerstwa. W artykule „Duch filomatów i promienistych a Harcerstwo“ autor wcale udanie przeprowadza analogię Tow. Filomatów do harcerstwa. Nie ustrzegł się jednak omyłek przy wymienianiu założycieli Tow. Filomatów. Towarzystwo to mianowicie założyli: Adam Mickiewicz, Tomasz Zan, Józef Jeżowski, Bruno Suchecki, Erazm Poluszyński i Onufry Pietraszkiewicz; w ciągu zaś pierwszego roku dopiero przybyli: Nowicki, Malewski i Kowalewski oraz korespondenci: Łosiński i Czeczott (Czeczott nie był wówczas w Wilnie. Mniej się udało praca Płomiennemu bo jego krótki „Zarys historii skautingu polskiego“ opracowany jest źródłowo jedynie w części, dotyczącej Galicji, ale opracowany zbyt pobieżnie, a przez to traci swą właściwą wartość, podając jedynie suche fakty, zwykle mało mówiące o samym harcerstwie, jego stanie wewnętrznym, ideologii i t. p. Również stanowczo za pobieżnie i niedość ściśle jest potraktowany artykuł o literaturze harcerskiej. Nie chcieliśmy dotknąć autora (domyślając się z „harcerską domyślnością“ kto nim jest) ale wygląda tak jakby wielu rzeczy, o których pisze, nie znał gruntownie, ba, może nawet nie czytał.

Wreszcie, jak w każdym piśmie skautowym jest część belletrystyczna. Znany już autor skautowy, dh. Kawalec, daje nam ładny nastrojowy obrazek z życia skautowego, „przy ognisku“, a Zbigniew T. opowiada o jednej „z koźlich wypraw“, gdzie naturalnie były zwiały i inne nocne przygody w obozie. Opowiadanie miłe, „jakich wiele“.

Ciekawe światło na pracę skautów krakowskich rzuca sprawozdanie z wystawy skautowej. Widzimy, że była to miniatyrka naszej wystawy harcerskiej w Warszawie w 1916 roku. Szkoda, że i o naszej czegoś podobnego nie napisano.

Wreszcie na zakończenie (o ile nas nie myli harcerska domyślność) przemówił druh komentant... podnosząc zasługi autora „powieści skautowych“. I bardzo słusznie. Właśnie tego typu książek — harcerskiej literatury pięknej — że użyję powszechnie stosowanego terminu — nam potrzeba dzisiaj.

Może coś więcej ujrzą więc nasze oczy prócz owych miłych „opowieści“.

DZIAŁ ZADAŃ.

4. ZADANIE „WSTECZNE”.

Uł. Stasięk R.

Podać przynajmniej 10 wyrazów wprost i wspan jednobrzmiących. W rachubę wchodzi tylko rzeczowniki w pierwszym przypadku. Imiona własne się nie liczą.

5. SZARADA.

Uł. J. Orski.

Pierwsze wskazuje, a drugie drobne. Wszystko do lisa trochę podobne.

6. TROJZNACZNIK.

Uł. J. Orski.

Jedno brzmienie, a całkiem różne ma znaczenia. Pierwszego nie więz w klatce, że ma dźwięczne pienia.

Druga astra, nie igraj, lato zaciąć może.
Trzecia u Jasi jasna, jak dojrzałe zboże.

7. ZADANIE.

Uł. Stasięk R.

Podać cyfrę, która, pomnożona przez każdą z cyfr do 1 do 10, da liczbę, której suma cyfr da właśnie tę cyfrę.

8. ŁAMIGŁOWKA.

Uł. Stasięk R.

Z liter: a, a, e, k, k, k, n, o, o, o, p, r, r, s, t, u, w, w, — ułożyć dwie dziewięcioliterowe nazwy pospolitych u nas ptaków.

□□□□□□□□

SPROSTOWANIE.

W trzecim bilecie wizytowym, zamieszczonym w № 1 „Harcera” w trzecim zadaniu, zamiast „Pan Nagelow Hecner”, powinno być: „Pan Nagelow Heener”

□□□□□□□□

Czytajcie harcerze!

1. „COŚ WAM POWIEM” napisał Stanisław Rudnicki. Polecam wszystkim harcerzom i harcerkom „Coś wam powiem”, polecam mocno jako materiał do lepszych pogadanek

Redaktor i wydawca: Konrad Chmielewski.

Druk Jana Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11.

i do poważniejszych rozmyślań. Kto chce mieć ład w sercu, a komendę dobrą w głowie, winien z książeczką dobrą zawrzeć braterstwo serdeczne. Niech ona budzi w Was lepsze, goętsze myśli i czucia.

Konrad.

2. „JAK ZAWIĄZAĆ PRACĘ HARCERSKĄ” napisał

Tadeusz Skotnicki. Książeczka dla wszystkich którym nie jest obojętny rozwój harcerstwa Karta tytułowa niejako wskazuje na intencje autora. Książka godna szerokiego rozpowszechnienia. I nietylko wśród harcerzy, lecz właśnie wśród szerokiego ogółu!

3. Stanisław Rudnicki i Tadeusz Skotnicki. Skauci w obozie.

4. I. Wądołkowski. Musztra jednostki i zastępu.

5. Jerzy Wądołkowski. Musztra plutonu. Oceny zamieścimy w numerze następnym.

□□□□□□□□

Od Wydawnictwa.

Prenumerata w Warszawie i na prowincji:

Rocznie:	8 m. 50 fen.	Dla harcerzy	7 m. 50 fen.
Półrocznie:	4 m. 50 fen.		4 m.

Cena pojedynczego numeru 80 fen.

Adresować tylko: Warszawa, Traugutta 2. Do Redakcji (lub Administr.) Harcerza.

Zamówienia prenumeraty przesyłać na załączonych do № 1-go pocztówkach.

„KALENDARZ HARCERZA”

NA 1918 ROK

i „COŚ WAM POWIEM” (I).

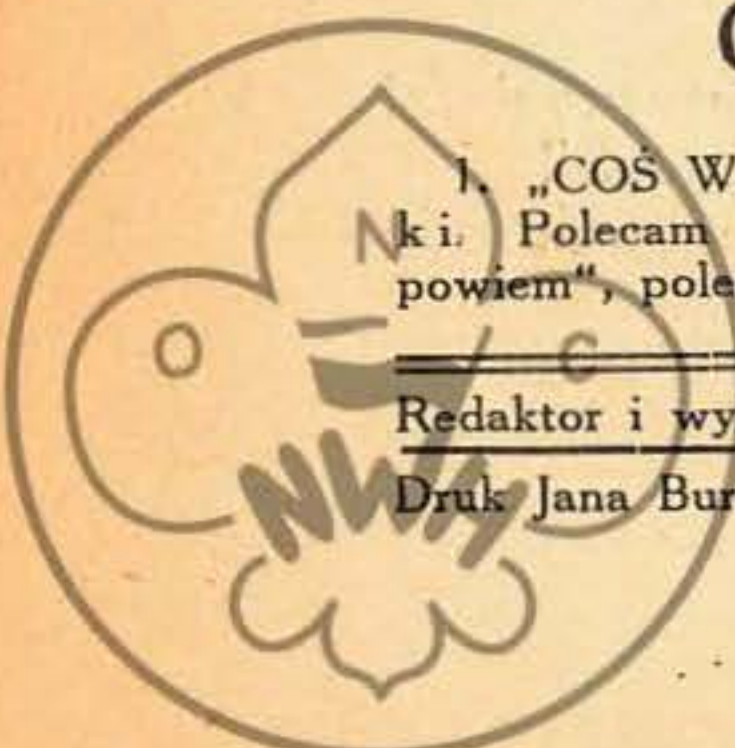
opracował STANISŁAW RUDNICKI

WARSZAWA, ul. TRAUUGUTTA Nr. 2

ŻAĄĄĄ WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH!

Sekretarz redakcji: Stanisław Rudnicki.

Za pozwoleniem Cenzury Niemieckiej



archiwum